

Konkursy krasomówcze

Towarzystwo Miłośników Miasta Poznania od kilku lat organizuje konkursy krasomówcze adresowane przede wszystkim do dzieci i młodzieży szkolnej, uczestniczą w nich jednak i starsi.

Czym jest krasomówstwo? Sztuką pięknego mówienia.

O czym? Tematyka bywa różnaita. W naszych konkursach wiąże się ona z najbliższą ojczyzną, regionem.

Aby dobrze przygotować prezentację należy poszukać ciekawego tematu, umiejętnie skomponować wypowiedź pisemną i opracować jej interpretację głosową. A potem wystarcza już tylko śmiało wyjść na scenę, nawiązać kontakt z publicznością i wygłosić przed nią mowę.

Początki bywają niekiedy trudne, a konkurs naszego Towarzystwa cieszy się coraz większym zainteresowaniem. Z myślą więc o tych, którzy stawiają pierwsze kroki umieściliśmy wybór tekstów z tegorocznej edycji, by stanowiły one wskazówkę dotyczącą wyboru tematu i kompozycji tekstu.

Wybór tekstów

(Uwaga: prawa autorskie zastrzeżone).

Poznańskie tradycje:

1. O świętomarcińskich rogalach

Witam Państwa

Jestem Jadzia. Mam 10 lat i 10 miesięcy, chodzę do 5 klasy szkoły podstawowej nr 36 w Poznaniu.

W całym kraju dzień 11 listopada wiąże się z obchodami odzyskania przez Polskę niepodległości. Tylko w Poznaniu te obchody mają zdecydowanie radośniejszy przebieg, bo są połączone z imieninami najważniejszej ulicy w mieście - Święty Marcin.

Co roku po mszy świętej wyrusza barwny korowód z kościoła pw. Świętego Marcina pod zamek cesarski, gdzie prezydent Poznania przekazuje klucze do miasta świętemu Marcinowi. Aż do wieczora odbywają się różnorodne pokazy i występy, w których biorą udział mieszkańcy miasta i wielu gości, którzy ściągają do Poznania, aby wziąć udział w świętomarcińskiej zabawie. W tym roku z powodu remontu ulicy, korowód wyjątkowo wyruszył z ronda Kopernika czyli popularnej Kaponiery w kierunku zamku.

W górach są oscypki, w Grecji króluje feta, a Wielkopolska chwali się rogalami marcińskimi. Mało kto wie, jak daleko sięga historia tego specjału.

Co roku w województwie wielkopolskim zjada się kilkaset ton rogali marcińskich, można je kupić w cukierniach, piekarniach, na straganach przy kościołach, a nawet przez Internet. Ich tradycja pochodzi z czasów pogańskich, kiedy podczas jesiennego święta składano bogom ofiary z wołów.

Moja mama tydzień po 11 listopada zabrała mnie i mojego brata Franka do Muzeum Rogala. Gdzie w zabawny sposób została przekazana historia rogalu oraz sposób wykonania. Każdy, kto chciał mógł się włączyć w produkcję rogalu oczywiście ja z bratem aktywnie wzięliśmy udział. Nam przypadło w udziale wygniatać ciasta... podczas prezentacji bardzo często mistrz rogalu wtrącał gwarę poznańską.

Rogalowe Muzeum Poznania mieści się w zabytkowej, 500-letniej kamienicy, jednej z najlepiej zachowanych na całym Starym Rynku. Wystrój pochodzi ze złotej epoki dla miasta, czyli Renesansu. W środku możecie tu podziwiać m.in. oryginalny drewniany strop z polichromią, malowidła naścienne, gotyckie ściany i łuki. Przez okna można podziwiać doskonały widok na perły polskiego renesansu: Ratusz oraz kolorowe kamieniczki budnicze.

Jestem Mela a mój brat to szczon a dorośli to ciotki i wuję, niezależnie jak pracowali poznaniacy zawsze ich praca była oceniana wzorowo. Warszawiacy jak to warszawiacy w ocenach wypadali różnie. Śmiechu było, co niemiara. Dużo było przytyków odnośnie skąpstwa poznaniaków, ale gdy padało stwierdzenie, że poznaniak jest skąpy, dusigrosz zawsze było zmieniane przez prowadzących na stwierdzenie, że poznaniacy są oszczędni.

Jak to powiedziała ciotka z muzeum ...

... poznańskie rogalie świętomarcińskie to nazwa wyjątkowych rogali z nadzieniem z białego maku, które od ponad 150 lat są najważniejszym poznańskim słodkim przysmakiem. Dziś mają one status Chronionego Oznaczenia Geograficznego – mogą powstawać tylko w Wielkopolsce i to według ściśle określonej receptury.

W smacznym nadzieniu, oprócz podstawy z białego maku, powinny znaleźć się orzechy, rodzynki, okruchy ciasta biszkoptowego, kandyzowane owoce, masa jajowa, nieco margaryny oraz cukier, który nada wypiekowi wyjątkowej słodyczy. Samo ciasto musi być półfrancuskie, mieć 81 warstw i, najlepiej, żeby listkowało. Kształt też jest ważny, bo bez niego rogal nie będzie już rogalą. A już na pewno nie tym Marcińskim.

Będąc w Poznaniu koniecznie trzeba ich spróbować!

Nie musicie już gorączkowo szukać rogali po cukierniach albo czekać do 11 listopada, by cieszyć się smakiem świętomarcińskich rogali. Teraz możecie korzystać z poznańskich przysmaków, na co dzień - i to w... muzeum.

2. Pyzy, plynzde, ślepe ryby

Dzień dobry! Mam na imię Emilka.

Jestem bardzo zdenerwowana, ponieważ moja mama pokłóciła się z babcią o pyzy. Babcia powiedziała, że pyzy gotuje się na gazie a nie w wodzie. Nic z tego nie rozumiałam, mama też zrobiła wielkie oczy i popatrzyła na nią z niepokojem.

Ale to babcia miała racje...

Na garnek z wodą nakłada się gazę, a na gazę, pyzy. Dawniej mówiło się, że są to kluchy na łąchu. Gotowanie trwa rug-cug, czyli krótko. Więcej czasu zabiera przygotowanie ciasta, a najwięcej czekanie aż urośnie.

Do tego dania podaje się ciemny sos, pieczoną kaczkę i modrą kapustę - przypomniała babcia.

Po tych słowach mama zbladła, więc żeby jej nie było smutno, powiedziałam, że ja najbardziej lubię zupę ziemniaczaną.

To nie takie łatwe - usłyszałam - bo jak się za dużo pyrów nakładzie to nie jest smaczna. Ale i tak wolę te ślepe ryby z myrdyrdą niż pyzy.

Jakie ślepe ryby? Z jaką myrdyrdą? O czym wy mówicie? Co będzie na obiad? - spytał przestraszony tato.

Na pewno nie będzie zupy ziemniaczanej, czyli ślepej ryby z myrdyrdą. Babcia i tak nam robi plynzde.

Oczywiście, mogę zrobić plynzde. Kartofle utrzymy, dwa jaja do środka, trochę mąki, soli i ryż na patelkę. Tak się nawtykacie, że się nie ruszycie. A komu będzie mato to niech poprawi kromkom chleba z gzikami.

Wszyscy się roześmialiśmy, ba jak się babcia zapomni to gado po poznańsku, że aż miło słuchać. Wam też pewnie się podobało.

Wuchta wiary nie wie, że w Poznaniu wszyscy mówimy przynajmniej dwoma językami - po polsku i po poznańsku, czyli po polsku ale po naszymu.

3. O poznańskich Bambrach (dwa odmienne ujęcia tego samego tematu)

Łejery! Bambery! - tak zawsze mówi Wuj Kalasanty, który ma chyba ze sto lat.

Łejery! Bambery! - tak mówi ile razy przejedzie do nas na procesję Bożego Ciała bo wtedy idą w procesji Bamberki ubrane w piękne stroje i z jeszcze piękniejszymi takimi jakby wiankami na głowach. Nazywają się one kornety.

Też chciałabym taki wianek-kornet. [1min]

Wuj Kalasanty mówi, że Bamberki kiedyś wkładały na siebie kilka spódnic i przez to stawały się bardzo grube, czy może szerokie, bo w środku, pod tymi spódnicami jedne były naprawdę grube, a drugie wcale nie.

Nawet ty-powiedział wuj, byłabyś w tym stroju gruba jak beczka. Spojrzałam w lustro.

Ej, wuju wcale nie-chciałam zaprotestować, ale wuj ciągnął dalej.- a w tramwajach to były dla nich specjalne drzwi, szerokie jak dla wózków, a gdy siadały, to zajmowały aż dwa miejsca.

Łejery, co to by było, gdyby dziś jeździły w godzinach szczytu.

Dlaczego Panie w kornetach nazywały się Bamberkami- spytałam tatę, który wszystko wie.

Bo ich przodkowie przyjechali do nas z Bambergu, ze wsi niemieckich i tu się osiedlili. Dawno już. Jeszcze w osiemnastym wieku. Strasznie dawno. To jeszcze wcześniej, niż urodził się wuj Kalasanty, który jak już Wam mówiłam ma chyba ze sto lat.

Kiedyś gdy na obiad był rosół, wuj zawołał :” Dziś Nicole jest panną młodą,a oto jej obiad weselny.” I wrzucił mi do talerza kilka monet,bo taki był niegdyś obyczaj na bamberskich weselach.

Głowę panny młodej zdobi kornet,a Nicole go nie ma zaprotestowała mama. I wylała mój rosół do zlewu. Nie pozwoliła mi nawet wyłowić złotych. A potem wujek wszedł pod stół,żeby niepostrzeżenie zdjąć pannie młodej bucik,bo to też bamberski obyczaj weselny,ale ja na nogach miałam tylko klapki i wuj stwierdził,że ściągnięcie ich to nie sztuka, a poza tym brak jest pana młodego,który by wykupił mój bucik.

Mama wyglądała na trochę nie zadowoloną, więc wuj prędko powiedział,że na koniec wesela podawane są flaki i to oznacza,że goście mają już opuścić dom weselny. A on czuje się właśnie takim gościem weselnym.

Na szczęście żadnych flaków u nas nie było i obiad można było zjeść spokojnie.

Po obiedzie przyszedł czas na tańce.

Wuj udawał pana młodego i tańcząc z zawiązanymi oczyma,szukał swej oblubienicy, a ja to umykałam przed nim, to przywoływałam go hukaniem. Ku-Ku, ku-ku hukałam ile siły.

Ten taniec to „kukułka”,a drugim z nich był „wałek”. Wuj tańczył go, tuląc w objęciach,nasz kuchenny wałek do ciasta. Ale,gdy na koniec,zgodnie z obyczajem już , już miał go wyrzucić przez okno,mama zapiszczała cienko „nie , nie Kalasanty”i wyrwała mu wałek z ręki.

Ostatnio zabrał mnie do Muzeum Bambrów Poznańskich i pokazywał dawne sprzęty, takie stare jak on. Masielnice, żelazka, które mają duszę, jaką dziwną patelnię do prażenia kawy.

A na końcu mogłam włożyć kornet. Prawdziwy.

Co za szczęście. Udał mi się ten Wuj Kalasanty. Z radości rzuciłam się mu na szyję, a potem krzyknęłam mu z całych sił prosto w ucho- Łejery Bambery.

Z godziny wuj trzymał się za ucho, ale też był szczęśliwy.

4. O poznańskich Bambrach

Witam Państwa

Mam na imię Jadzia i chodzę do 5 klasy.

Poznań wszystkim kojarzy się z targami, szneką z glancem, pyrą z gzikiem, Starym Marychem i koziołkami, rogalami na Świętego Marcina a mnie Poznań kojarzy się również z Bambrami a w szczególności z Bamberką. Któż bowiem z poznaniaków nie umówił się kiedyś pod Bamberką?

Niewielki pomnik-studzienka, przedstawia kobietę w ludowym stroju bamberskim, z dwiema używanymi w winiarstwie konwiami zawieszonymi na nosidłach (tzw. szońdach). Stojąca obecnie na tyłach ratusza, przypomina o roli osadników z okolic Bambergu, których pierwsza grupa przybyła do Poznania w XVIII wieku. Nie ma chyba w Poznaniu pomnika, który bardziej wędrowałby po mieście, niż właśnie Bamberka.

Może nie jestem bamberką z dziada pradziada, ponieważ moi przodkowie nie pochodzą z Bambergii tylko z Kresów, Dolnego Śląska i Wielkopolski, ale urodziłam się tu w Poznaniu na Jeźycach. Podczas nocy muzeów moja mama zabrała mnie do muzeum Bambrów poznańskich i bardzo podobała mi się wystawa. Odkąd pamiętam bamberki towarzyszyły mi podczas sypania kwiatów z okazji Bożego Ciała na Jeźycach.

I wiecie, co szanowni państwo miałam okazję a właściwie zaszczyt wystąpić w stroju bamberki w procesji Bożego Ciała a potem podczas procesji Najświętszego Serca Pana Jezusa z kościoła na Kościelnej na plac pod poznańskie krzyże - pięknie się wtedy prezentowałam. Bo taki strój odświętny, uroczysty na Boże Ciało to jest coś.

To jest szczególny strój – piękny, kolorowy i bardzo, bardzo dostojny. Same ubieranie zajęło mi prawie godzinę - dziś już tylko pół godziny. Kobięcy strój bamberki nie pochodzi z Bambergii tylko ukształtował się w okresie XIX wieku w Poznaniu ze skrzyżowania cech strojów frankońskich łuzyckich lubuskich oraz wielkopolskich a także bidermaieru.

Wiecie szanowni państwo, że każda Bamberka miała czasem kilkanaście różnych sukien.

Najpierw zakłada się kizkę – taki banan na sznurku, następnie kilka watówek, które nadają puszystości i tanecznego kroku, potem spódnicę tzw. Dyrdom i kaftan. Na spódnicę zakłada się biały fartuch, wiązany z tyłu podwójnymi bandami. Pod tiulowym, przezroczystym fartuchem po lewej stronie nosi się tzw. Kieszeń. Ramiona okrywa mi chusta skrzyżowana na piersiach. Na szyi mam koronkową krezę i sznur czerwonych koralików zakończony krzyżykiem. Jako Bamberka na głowie mam kwiecisty kornet – ciężki, ale jaki elegancki. Na nogach białe rajstopy i czarne buty.

A wracając do wspomnianego pomnika autorowi fontanny nie pozowała bamberka tylko moja imienniczka Jadwiga Gadziemska z Piątkowa jedna z pracownic winiarni Goldenringa - fundatora fontanny.

Szkoda, że po zakończeniu II wojny światowej określenie „bamber” nabrało pogardliwego znaczenia wskazującego wiejskiego prostaka, kogoś niepasującego do miasta. Wielu zapomniało, iż bambrzy to dobrzy bardzo religijni i pracowici gospodarze sporo wnieśli do kultury i historii tego miasta. Żałuje, więc że słowo „bamber” kojarzy się jeszcze wielu poznaniakom i Wielkopolanom z nieokrzesanymi wieśniakami a nie z ludźmi pracowitymi przedsiębiorczymi a zarazem przywiązanymi do tradycji i jakimi byli w istocie ci osadnicy. Ale może ja pomogę zmienić ten fałszywy osąd.

Zwą mnie poznańska pyra - bamberką też mogę być a co tam....

A wiecie szanowni Państwo, po czym poznać bambra w lecie

Nie wiecie

Po berecie

Szczególne miejsca, ulice

5. Komu wąż liże uszy (opowieść o starej aptece

Wszystko zaczęło się tak zwyczajnie. Późnym popołudniem zadzwoniła babcia i powiedziała, że strasznie łupie ją w krzyżach, leży w łóżku i żeby do niej przyjechać. Mama więc zaraz zapakowała do koszyczka kawałek ciasta, sok z czarnej porzeczki i chciała jeszcze zapakować jakąś miksturę. Ale nigdzie nie mogła jej znaleźć. Więc najpierw pojechaliśmy do apteki. Na Stary Rynek, bo tam właśnie w starej kamiennicze, gdzie pod okienkiem gruchają sobie dwa gołąbki mieszka moja babcia. Miałam na sobie nową czerwoną czapkę i przeglądałam się w każdej szybie wystawowej. Nie myślcie, że jestem próżna. Nie. Po prostu śliczna jest ta nowa czapka od babci. Nagle jakiś chłopak zawołał : „Ej, Czerwony Kapturku uważaj, żeby Cię wilk nie pożarł.” W chwilę później weszliśmy z mamą do apteki. Jeszcze nigdy w takiej nie byłam. Ciemnowo, mrok skradał się po kątach, pachniało ziołami, stały jakieś dziwne butelki i naczynia, a z boku spoglądał na mnie zasuszony konik morski. Mama rozmawiała z Panią Domańską. A ja rozglądałam się dookoła. Nagle coś w kącie jakby błysnęło i zaraz usłyszałam jakiś gruby głos :”Witaj Czerwony Kapturku. Pewnie idziesz do babci. A co masz w koszyczku? Jestem Wilk.” No tak, baśń o Czerwonym Kapturku. Tamten chłopak mnie uprzedzał. Chciałam uciekać. Ale światło stało się nieco jaśniejsze i zobaczyłam starszego pana. Ucierał coś w tym dziwnym naczyniu. Zobacz-powiedział-to jest mózdzierz. W nim rozdrabnia się zioła, uciera mikstury. Mistura, już wiem-zawołałam-na bolące krzyże. Ummm-przytaknął-nie bój się, tylko nazywam się Wilk. Adam Wilk i zapraszam Cię do starej apteki. Pierwsza wzmianka mówiąca o istnieniu w Poznaniu apteki pochodzi z 1466 roku {3}

A najstarsza z tych aptek, która zachowała się do naszych czasów, to właśnie ta. Apteka „Pod Białym Orłem”. Istnieje już ponad pięćset lat. Tyle, że wcześniej mieściła się w sąsiedniej kamiennicze, gdzie nad wejściem znajduje się kamienny, biały orzeł. Stąd jej nazwa. „Pod Białym Orłem”. A na żelaznych okiennicach widać węże.

Ale dlaczego? Dlaczego węże?-zapytałam z przejęciem.

W starożytnej Grecji wielkim poważaniem cieszył się Bóg lekarzy. Nazywał się on Asklepios i miał pierwotnie postać węża. Węża uzdrowiciela. Nie wierzyłam własnym uszom. Wąż uzdrowiciel? Uzdrowiający swym jadem? A żmije, a a a anakonda? Pan Wilk uśmiechnął się lekko i opowiadał dalej. W dawnych aptekach sprzedawano nie tylko leki. Zdjął z półki pękata butelkę i nalał sobie wina do kubka. Znakomite-powiedział, upijając ze smakiem. No, nie dla Ciebie. Dla Ciebie mam ślazowe cukierki. Na kaszel. A potem utrę Ci w mózdzierzu coś pysznego. Coś co zamawiano kiedyś na królewskie stoły. Byłam bardzo ciekawa, co to takiego. Ale on już wlewał w długą foremkę gorący wosk. Zapachniało miodem i latem. Woskowe świece-powiedział i po chwili podał mi dwie śliczne świece zdobione kwiatkami. Potem przez sito przelał jakąś białą papkę, dołożył kwiat jaśminu, kilka kwiatków rumianku.

-A to co? -zaciekawiłam się.

-Poczekajmy aż wyschnie. To papier czerpany. Inny niż dzisiejszy. Grubszy.

Kiedyś na takim pisano w księgach. Nie ochłonęłam jeszcze ze zdziwienia, gdy Pan Wilk wyciągnął talię kart. Karty też sprzedawano w aptekach?-zapytałam zdumiona. Tak. Chcesz, to Ci powrózę. Mam uszy polizane przez węża-starszy pan uśmiechnął się tajemniczo.

A komu wąż polize uszy, ten ma zdolności wróżenia. I co mi karty wróżą? Będiesz uczestniczyć w Konkursie Krasomówczym.

No nie, skąd on o tym mógł wiedzieć? Do dziś nie mogę uwierzyć! A tak w ogóle, czy ktoś z Was widział, żeby wąż lizał jakiemuś człowiekowi uszy. Wizyta w aptece dobiegła końca. Mama odebrała miksturę i już miałyśmy wychodzić, gdy Pani Domańska zawołała: Poczekaj, dziewczynko. Weź ten przysmak królewski. To marcepany. Też je robiono w dawnych aptekach. Z buzią pełną słodkości dziękowałam i żegnałam się z tymi sympatycznymi ludźmi.

To o czym Wam opowiadam działo się dwa lata temu. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że wkrótce stara apteka zniknie z mapy Poznania. Pozostał tylko kamienny orzeł nad wejściem i okiennice z węzami. No i moja opowieść. Gdy będziecie tamtędy przechodzić wspomnijcie starą aptekę i ludzi, którzy w niej pracowali.

6. Zwierzęta ze Starego ZOO

„Hipopotam w autobusie, małpa w oknie i kapryśna Kinga”

Tuż po II wojnie światowej odbudowa Ogrodu Zoologicznego przy ulicy Zwierzynieckiej ruszyła pełna parą. Przywieziono zwierzęta z niemieckich cyrków, a także ze starego zwierzyńca w Lesznie i zrujnowanego wrocławskiego ZOO. Hipopotam Lorbas przyjechał z Wrocławia do Poznania... autobusem, a dokładniej w przyczepie autobusowej, z której wcześniej wymontowano siedzenia.

Narodziły się też plany sprowadzenia słonia. Udało się to zrealizować dopiero w 1955 roku. Słonica indyjska z miejsca stała się ulubienicą odwiedzających. Już pierwszego dnia nową gwiazdę przyszło zobaczyć 15 tysięcy osób, a do redakcji „Gazety Poznańskiej”, która ogłosiła konkurs na jej imię, przyszło ponad 250 tysięcy propozycji. O tym jak ważna stała się dla Poznania, może świadczyć to, że telefony od zaniepokojonych mieszkańców dosłownie urywały się, gdy słonica musiała przejść poważny zabieg dentystyczny. Kinga była prawdziwą gwiazdą – pozowała do zdjęć, zadowolona witała odwiedzające ją dzieci. Miała też swoje humory – niektórych pielęgniarzy lubiła, innych nie – mrużąc odsuwała ich od siebie. Gdy kiedyś malowano od wewnątrz jej pomieszczenie, porzuciła rusztowania, przegoniła robotników i wypłała im farbę. Innym razem zabrała aparat fotograficzny widzowi, a innemu odebrała i ...połknęła parasol! Kinga była ostatnim słoniem w ogrodzie przy Zwierzynieckiej. Kolejne wprowadziły się do słoniarni już w Nowym ZOO.

A wiecie, że ze Starego ZOO uciekły kiedyś dwie małpy?

Jedna z nich dostała się na teren jednostki wojskowej. Dobiegła do żołnierza stojącego na warcie, wyrwała mu karabin, skierowała go lufą w swoją stronę, popatrzyła do środka i na szczęście odrzuciła.

Druga szympansica przeskoczyła przez płot i weszła na podwórze domu na narożniku ulic Zwierzynieckiej i Kraszewskiego. Tam weszła po schodach i chwyciła klamkę do jednego z mieszkań. Kobieta, która tam mieszkała, słysząc, że ktoś się dobija, otworzyła drzwi. Na widok mały zemdląła. Szympansica weszła sobie do środka i wyjrzała przez okno. Gdy do mieszkania dotarli ścigający ją ludzie, chwyciła się rynny i zjechała na dół. Ostatecznie jej opiekun wszedł do klatki i tam ją zwabił. Klatkę z szympansicą i jej opiekunem w środku przeniesiono z powrotem do ZOO.

Wykorzystano fragment z książki:

Łukasz Czekala „MIASTO nie do POZNANIA”

Szczególne ulice

7. Ulica Chopina

W Poznaniu, z dala od miejskiego gwaru, znajduje się mała cicha uliczka biegnąca tuż obok niewielkiego parku. Rzadko spotyka się na niej przechodniów. Najczęściej przechadza się po niej wiatr i nieduża dziewczynka z jasnymi włosami. Wiatr targa jej włosy, drzewa w parku uginają gałęzie w powitalnym ukłonie, uliczkę wypełniają dźwięki mazurka, płynące z otwartego okna, a dziewczynka uśmiecha się radośnie, podnosi głowę i słucha... słucha z przejściem melodii wybiegającej spod zręcznych palców pianisty. I wydaje się jej, że widzi wiejską karcznię, wierzby pod Utratą, że czuje smutek i tęsknotę artysty. Ta uliczka, taka dziwna, nad którą wschodzi księżyc zasłuchany to ulica Chopina (Szopena), a ta dziewczynka... czy już się domyślacie? Tak to ja Zosia. na co dzień jestem zwyczajną Zosią, uczę się w szkole podstawowej nr.71 i jestem już w piątej klasie. Ale czasami staje się Zosią zupełnie inną. Wtedy właśnie wybieram się na spacer i słucham muzyki na małej uliczce nazwanej imieniem Fryderyka Chopina. jesienią słyhać tam werble kasztanów

stuk-puk, stuk-puk, stuk-puk, puk, puk... -uderzają rytmicznie o ziemię. z pobliskiego przedszkola maszerują rażno dzieciaki. Wyśpiewują piosenkę o zielonych językach, które zeskoczył z drzewa. Wysokie dźwięczne głosiki dziecięce wyganiają ciszę z parku. Dzieci rozbiegają się, i zbierają kasztany.

Jest, jest - wołają radośnie. Ja też ma. Patrz, patrz jaki ten kasztan duży. /

Wiosna, na gałęziach drzew siadają ptaki. Próbuje swoich głosów. Kołysząc się na cieniutkich gałązkach biorą wysokie C. I już wkrótce rozpoczyna się ptasi koncert. Najwspanialsze symfonie na cześć budzącego się życia. Czasem na ruchliwej ulicy Fredry odbywa się kapelmistrz-tramwaj. Dzwoniąc głośno przeciska się tłum samochodów. Podnosi batutę. I dzyń, dzyń, dzyń- dźwięki za dźwiękiem goni. Batuta opada. Dzwonek milknie i tramwaj

przejeżdża z łoskotem . Na ulicy Chopina znów zaległa cisza, tylko wiatr poświsztuje w drzewach. Czeka. Za chwilę otworzy się okno w budynku poznańskiej Opery. Rozpocznie się próba. O, już słyhać uwerturę, teraz płyną arie. Rozpoznaję. To „ Straszny dwór” Stanisława Moniuszki. Przechodzę przez ulice i zbliżam się do cokołu na którym umieszczono popiersie człowieka, uznawanego powszechnie za ojca polskiej opery narodowej. Rozbrzmiewają słowa arii operowej : „ Ten zegar stary” słynnej arii z kurantem. Słyhać kolejne uderzenie zegara : pierwsze, drugie, trzecie, czwarte, piąte, szóste, siódme, ósme, dziewiąta, dziesiąta, jedenaste. Z nieba spada kropla lekka, przezroczyste i toczy się po kamiennym policzku Stanisława Moniuszki. Księżyc wyszedł zza drzew i zawisnął nisko. Słucha nokturnów płynących z willi przy ulicy pojawia się on. Fryderyk. Idzie wolno w stronę pomnika. Patrzę zdumiona. Cokół jest pusty, nie ma popiersia. Księżyc oświetla park i stopniowo wydobywa z mroku postać Moniuszki. Artyści podają sobie dłonie. Muzyka, muzyka, muzyka. Ulica Chopina to mała, cicha uliczka biegnąca tuż obok niewielkiego parku Moniuszki. Rzadko spotyka się na niej przechodniów. Najczęściej przechadza się na niej wiatr i nieduża dziewczynka z jasnymi włosami. Ma na imię Zosia i to jestem ja.

Postacie:

8. Zapomniani – pamiętani Jan Nepomucen Niemojewski

Nie tak dawno obchodzony Dzień Niepodległości stał się okazją do wspomnienia tych, którzy walczyli i ginęli za wolność ojczyzny. Naszym obowiązkiem jest wydobywanie ich sylwetek i zasług z mroków zapomnienia oraz przekazywanie pamięci o nich potomnym. Dlatego właśnie chciałabym przybliżyć Państwu postać Jana Nepomucena Wierusz Niemojowskiego, dziedzica dóbr śliwnickich.

Nasz bohater pochodził z rodziny gorących patriotów, których gniazdo rodowe – Niemojowice – leży w okolicach Wielunia. Dobra śliwnickie Niemojowscy nabyli w połowie XVIII wieku. Jan Nepomucen, syn Makarego, urodził się w Śliwnikach 4 maja 1803 roku, ale wychował w Jedlcu, gdzie wraz z braćmi pobierał nauki u prywatnych guwernerów. W wieku dziewiętnastu lat młodzieniec udaje się, za poradą stryjów, do Berlina na studia prawnicze. W trzecim roku nauki odbywa służbę wojskową jako przymusowy ochotnik, jednak po roku wraca do rodzinnego Jedlca, a po śmierci ojca przejmuje zarządzanie majątkiem śliwnickim, który z braku nadzoru znacznie podupadł. Obejmując dobra w Śliwnikach nasz bohater napisał, że zastał tam tylko niebo i ziemię. W tym czasie młody Niemojowski był pod silnym wpływem i urokiem stryjów. Przebywając często w ich majątkach zaszczepił w sobie idee postępowe i demokratyczne, a nade wszystko niepodległościowe. To właśnie kontakty z Wincentym i Bonawenturą – znanymi działaczami

kaliskimi – stały się przyczyną aresztowania Jana w 1827 roku. Jednakże, jako poddanego Prus, po przewiezieniu do Warszawy i rozmowie z Wielkim Księciem Konstantym, odstawiono go do granic Królestwa Polskiego.

W 1830 roku wybucha powstanie listopadowe. Jan Nepomucen wraz z braćmi wstępuje, jako prosty żołnierz, do pułku jazdy kaliskiej formowanego przez pułkownika Dłuskiego. Wraz z pułkiem przybywa do Warszawy, walczy na wielu powstańczych frontach. Szczególnie zasłużył się w bitwie pod Wawrem. Po przebytej chorobie odkomenderowany zostaje do szwadronu kaliskiego, który wyrusza do walk na terenie Litwy pod rozkazami Samuela Różyckiego. Za swoje bohaterstwo oraz jako wzór cnót moralnych zostaje mianowany porucznikiem i odznaczony Krzyżem *Virtuti Militari*.

Po klęsce powstania powraca z internowania do rodzinnej wsi, gdzie władze pruskie skazują go na karę śmierci. Po ułaskawieniu przez rok przebywa w więzieniu w Grudziądzu, potem osiada na roli i zajmuje się pracą organiczną. Żeni się z córką marszałka sejmu poznańskiego – Joanną Ponińską i czynnie angażuje w organizację towarzystw rolniczych na terenie Wielkopolski. Odbywa kilka podróży do Paryża, by nawiązać kontakty z demokratami; bierze czynny udział w *Wiośnie Ludów*; osobiście poznaje Adama Mickiewicza i Juliusza Słowackiego.

Podczas rozmowy z autorem „*Pana Tadeusza*” dziedzic śliwnicki zapytał – między innymi – dlaczego poeta, będąc w pełni sił i geniuszu przestał pisać dla Polski. Mickiewicz miał odpowiedzieć, że *nie warto pisać dla Polski bo jedni kupują książki dla mody (...), drudzy zupełnie nie kupują, inni, chociaż czytają, nie chcą rozumieć*. Zupełnie inny charakter miało spotkanie z Juliuszem Słowackim, do którego doszło w paryskim mieszkaniu poety. Autor „*Balladyny*” przyjął naszego bohatera z otwartymi ramionami, bo – jak kilkakrotnie stwierdził – odwiedziny Polaka z kraju przynoszą zawsze powiew rodzinnej świeżości, tak potrzebnej emigrantowi. Rozmowa dotyczyła głównie literatury, a Słowacki przyznał otwarcie, iż w jednym z utworów umieścił nawiązanie do zesłania na Sybir braci Wincentaego i Bonawentury Niemojowskich – stryjów swego rozmówcy. Poeta zapewnił również, iż właśnie ukończył kolejne dzieło dla Polaków, ale jeszcze go nie publikuje. Na tym rozmowę zakończono. Te dwie postacie zetknęły się powtórnie, pełnym przypadkiem we Wrocławiu, Słowacki rozpoznał wtedy Niemojowskiego w cukierni i szczerze uściskał.

Po powrocie z Francji nasz bohater zostaje posłem na drugi sejm prowincji pruskiej w Berlinie. Walczy tam o realizację postanowień Kongresu Wiedeńskiego, gwarantujących

Polakom zachowanie narodowości, języka polskiego i religii. Przez cały czas zabiega o sprawy chłopów, dla których domaga się całkowitego równouprawnienia i nadania praw obywatelskich.

W 1863 roku wybucha powstanie styczniowe, ze względu na wiek Niemojowski nie bierze czynnego udziału w walce, ale w śliwickim pałacu urządza arsenał broni i amunicji, nie bacząc na fakt, iż stacjonuje tam pruska załoga. Mimo szykan ze strony zaborców gorliwie pomaga powstańcom, zwłaszcza generałowi Taczanowskiemu. W porę ostrzeżony przed aresztowaniem Jan Nepomucen wyjeżdża do Hamburga, a potem do Brukseli. Po wyciszeniu spraw powstańczych wraca do majątku, gdzie umiera 8 kwietnia 1871 roku, a pochowany zostaje w kościele parafialnym. Dobrze, że zachowały się jego spisane wspomnienia, gdyż tylko one ukazują pełnię niezwykłych czynów dziedzica Śliwnik.

Moim marzeniem jest, by pamięć o Janie Nepomucenie Wierusz Niemojowskim pozostała nie tylko na skromnym pomniku przy kościele skalmierzyckim, ale kształtowała świadomość moich kolegów i koleżanek, mieszkańców Wielkopolski.

9. Czar polskości, czyli nieszczęśliwa muza ze Służewa

Czy wierzą państwo w zagadkowy ludzki magnetyzm? A co jeśli powiem, że działa również w przypadku płci z definicji pięknej? Brzydka i uwielbiana. No cóż... Zdarzają się takie kobiety, dlaczego? Paradoksalnie nieciekawe i pożądane, jakimś cudem potrafiące dopasować do siebie świat tak, by ukazywał je w korzystnym świetle. Muzy! Muza to wasze natchnienie, panowie i chłopcy, może nawet nieświadomie, ale... dzięki niej płaczecie – z radości, dostrzegacie słońce i aromat fiołków...Dostrzegacie prawdę? Oj, panowie i chłopcy, dostrzegacie! Jeśli nie... trzeba dojrzeć żeby dojrzeć. Pewnie myślicie: dlaczego muza musi być kobietą? Każda niewiasta chce być wielbiona, co łatwo zauważyć. Brzydka czy piękna, młoda czy już nie, błyskotliwa czy przeciętna – każda potrzebuje swoich wielbicieli. Również jej historia zaczyna się podobnie. Maria Wodzińska, legendarna polska muza dwóch geniuszy – Słowackiego i Chopina. Czy jednak na pewno nią była, czy to plotki i mity uczyniły z niej ukochaną i bratnią duszę mistrzów?

Jak się państwo domyślcie, urodziwa nie była na pewno. Jako dość przeciętna, zarówno zewnątrznie, jaki i umysłowo, młoda dziewczyna, stała się jednak bohaterką romantycznej idylli. I to zresztą niejednej. W młodości przebywała na obczyźnie – ojciec zabrał rodzinę ze Służewa w obawie przed prześladowaniami po upadku powstania listopadowego, w którym brali udział starsi bracia Marii. Już w tym czasie Wodzińscy byli znaczącym i darzonym szacunkiem rodem. Dlatego po wyjeździe właśnie w ich rezydencji często zbierała się śmietanka towarzyska Polaków. Tam nastoletnia Maria poznała swoją pierwszą miłość. Juliusz Słowacki był starszy od niej, dopiero rozpoczynał wielką karierę poety, który swoją

twórczością „zachwyca choć nie zachwyca” jak powiedział ustami Galkiewicza Witold Gombrowicz w swojej słynnej powieści. Na pewno zaintrygował nastoletnią Wodzińską, pełną respektu dla jego sławy, czekającą na uwagę i potrafiącą słuchać... I Maria wzbudziła sympatię poety. Może umiejętnością słuchania, może pierwszymi, dziecinnymi próbami pisarskimi, a może swoim pochodzeniem? Nie chodzi tutaj jednak o status społeczny, a narodowość. Była Polką, stanowiła więc w trudnych dla Polaków emigrantów czasach pewną bezpieczną przystań. Juliusz Słowacki mógł widzieć w niej swoją ojczyznę, romantyczną i upragnioną, którą opuścił. To właśnie wspólna tęsknota przybliżyła do siebie młodych Polaków, których nie łączyły ani pokrewieństwo dusz, ani prawdziwa miłość. Słowacki przeżył już kilka romansów, które mogły być dla niego ważniejsze od znajomości z Marią, jednak to ona jest najprawdopodobniej bohaterką sławnego poematu „W Szwajcarii”, w której notabene wspólnie byli. To świadczy o większej roli młodej Wodzińskiej dla poety niż wskazywałyby na to ich relacja, będąca przecież pierwszym zauroczeniem Marii, ale tylko jednym z wielu dla szukającego „podpórek” Słowackiego. Dobiegła jednak końca, a przyczyną tak smutnego finału były prawdopodobnie pieniądze.

A cóż z Marią? Juliusz się skończył, ale życie się nie skończyło. Pocieszenie dziewczyna znalazła w ramionach najlepszego przyjaciela jej brata, Fryderyka Chopina. Sławny, podziwiany artysta znalazł w Marii wielbicielkę i powierniczkę. Ona, wszechstronnie wykształcona, do fortepianu była przyzwyczajona od dzieciństwa i chętnie grywała utwory Fryderyka, a nawet posyłała mu własne próby kompozytorskie. Również autor Etiudy Rewolucyjnej musiał dostrzec w niej pewną bezpieczną przystań, może kojarzącą mu się z rodzinną Żelazową Wolą i dzieciństwem. Maria miała niesamowite szczęście – musimy to przyznać. Poznała od strony prywatnej geniusza, który zachwyca wrażliwością i siłą przekazu, łączyło ją z nim tak wiele; muzyka, tęsknoty, przyjaźń między rodzinami... Co mogło pójść nie tak? Wydawało się, że nic. Młodzi potrafili spędzać wspólnie czas, rodzice Marii uwielbiali Fryderyka, oboje mieli przed sobą całe szczęśliwe życie – prawdopodobnie nawet się zaręczyli, za cichą zgodą pani Teresy Wodzińskiej. Fryderyk co prawda wyjechał do Paryża, aby rozwijać swoją karierę, natomiast Wodzińscy w końcu powrócili na ziemię polskie. Wyjazd nie był zbyt wielką przeszkodą. I tak właśnie było przez jakiś czas – pisano listy, wymieniano prezenty, mówiono o wyjeździe Marii do Francji. A potem – koniec. Powoli listy stawały się coraz bardziej oschłe, powoli prezenty przestawały krążyć, znikły ciche aluzje do zaręczyn... dlaczego? Dlaczego nagle zakończył się ten piękny sen? Czy to Chopin, zaślepiony sławą lub oczarowany nową pięknnością, George Sand, postanowił urwać kontakt? Czy to Maria znudziła się młodym, sławnym, uwielbianym od dzieciństwa i podziwianym mężczyzną, któremu obiecała rękę? Przyczyny należy szukać wyżej – u rodziców dziewczyny, właścicieli nieistniejącego już pałacu w Służewie. Chopin, chodzący ideał, miał ich zdaniem jedną wadę – był bardzo chorowity. Diagnoza nie była jednoznaczna, jednak blada cera, kaszel i wieczne osłabienie dawały niemal pewność zachorowania na gruźlicę i tym samym – wyrok śmierci. Pewien fortepian, pewne pantofle i pewien pakiecik listów opatrzony bolesnym napisem – moja bieda.... – jak niewiele pozostało, tylko kilka sentymentalnych rupieci na pamiątkę. Jednak Maria była wciąż młoda. Poślubiła hrabiego Skarbka, który w przeciwieństwie do artystów dysponował dużym majątkiem, czyli był filistrem jakby powiedzieli młodopolanie. Para młoda po hucznym weselu zamieszkała

w Osiecinach. I tak zaczyna się dramat Marii. Ta młoda, przyzwyczajona do towarzystwa, bogatego i życia kulturalnego dziewczyna zostaje uziemiona na prowincji. Z dala od wielkich dworów, muzeów, galerii sztuki, koncertów i oper. Z jednym tylko fortepianem, który otrzymała od Chopina, i jednym mężczyzną. Tak – powiedzmy to wprost – prozaicznym. Pozbawionym głębi i duszy poetyckiej, który jej, Marii, nigdy nie będzie w stanie zrozumieć! To był cios dla jej miłości własnej i jednocześnie szok. Uwielbiona przez wybitnych artystów, nie chciała zniżyć się do poziomu męża.

I wtedy pojawia się w Osiecinach ubogi szlachcic – Władysław Orpiszewski. Nie powinien zwrócić uwagi hrabiny Skarbek – jednak jego elokwencja i zafascynowanie Słowackim przypomniało jej o dawnych czasach, kiedy otaczali ją artyści, kiedy dedykowano jej wiersze i kompozycje, kiedy czuła się kochana, kiedy potrafiła kochać, nawet pierwszym, niestałym uczuciem. Dlatego wniosła pozew o rozwód. Nie było to łatwe dla rodu Wodzińskich ani hrabiego Skarbka, jednak ona dopięła swego i wyszła za Władysława. Nowy mąż nie był majątny, co wcześniej nie wydawało się jej problemem, ale pozbawiona wsparcia rodziny rozumiała – o ironio – różnicę między biedą wyśnioną a otrzymaną. Maria musiała sama zarządzać gospodarstwem, co okazało się mniej romantyczne niż myślała. Mąż również ją rozczarował, z natury zakochany w poezji profanował ją regularnie banalnymi utworami, które na swoich rymach częstochowskich mogłyby wznieść się aż nad samą Jasną Górę. Kobieta rozumiała to już podczas miesiąca miodowego, kiedy luby dedykował jej wiersz: „Ach, to Szwajcaria, Szwajcaria, Nade mną wiszące grody, Pode mną szumiące wody, a przy mnie moja Maria!”. Nie takim natchnieniem chciała być... Jednak kochała swojego męża – chociaż nie był jej wyśnionym poetą. W końcu zagościł w jej życiu spokój, słodki jak fortepianowa muzyka.

Mimo pozornego szczęścia, Marię wciąż czekało wiele rozczarowań. W tym samym roku urodzeni, również w tym samym roku zmarli jej dwaj dawni ukochani – Fryderyk i Juliusz, zresztą na tę samą chorobę. Jedyne dziecko Orpiszewskich odeszło w wieku trzech lat. I na końcu spełniła się najgorsza obawa ojca Marii – gruźlica, przez którą odrzucono oświadczyny Chopina, dotknęła Władysława. Nawet po śmierci męża, kiedy pani Orpiszewska zamieszkała z siostrą na ziemi kujawskiej, wciąż widziano w niej kochankę polskich mistrzów. Czy była szczęśliwa, żyjąc w ich cieniu do końca swoich dni? Czy mogła być szczęśliwa? Dzisiaj pozostał po niej grób w Kłóbce, z epitafium, które sama ułożyła.

Żal nosząc w sercu

Do dni ostatka,

Spoczęła wreszcie

Żona i matka.

Wycieczki po Wielkopolsce

10. Muzyczna wycieczka śladami Fryderyka Chopina.

Szanowni Państwo. Był piątek i rowerowa „muzyczna wycieczka” szlakiem Fryderyka Chopina, najwybitniejszego polskiego kompozytora i pianisty nazywanego poetą fortepianu. Peleton uczniowski prowadzi nauczyciel wuefista, natomiast na końcu grupy jedzie pani od muzyki na pożyczonym rowerze od księdza kolarza. Ma kobieta zapał. Ruszamy. Czyżby Żelazowa Wola? A jednak nie. Kierunek Antonin. Mimo ponad 30 kilometrów nadal czuliśmy wiatr we włosach. Trochę gorzej znosiła to pani od muzyki, ale dała radę. Widok tego niezwykłego miejsca zaparł dech w piersiach. Nasza prześliczna wiolonczelistka zaczęła lekcję w terenie. Wznoszący się tutaj pałac z lat dwudziestych XIX wieku to budowla niezwykła wzniesiona na planie ośmioboku z czterema skrzydłami ułożonymi w kształt krzyża greckiego. Usytuowany jest w malowniczej okolicy wśród rozległych lasów i dwóch stawów. Pałac otacza rozległy park krajobrazowy z pomnikowymi dębami, w cieniu których spacerował niegdyś młody Fryderyk. Tu każde z drzew, zdawać by się mogło, swym szumem gra akordy mazurków i chopinowskich polonezów. Pałac wybudował książę Antoni Radziwiłł, który miał tu swoją letnią rezydencję. To właśnie dzięki Radziwiłłom Antonin stał się tętniącym życiem ośrodkiem kultury. Dziś nie ma już w pałacu ani księcia Antoniego, ani Radziwiłłów, jednak od wielu lat nadal jest prawdziwym wielkopolskim sanktuarium chopinowskim znanym w całym kraju. To tutaj od 1982 roku ponownie rozbrzmiewa jego muzyka podczas corocznego Międzynarodowego Festiwalu „Chopin w barwach jesieni”. Na festiwal zjeżdżają znani w świecie pianiści oraz popularni aktorzy, którzy swymi recytacjami wzbogacają program koncertów. Działalność tutejszego środowiska muzycznego nie ogranicza się jednak do organizowania corocznych festiwali. Akcja popularyzacji muzyki naszego wybitnego kompozytora trwa cały rok. Od lat Antonin żyje muzyką chopinowską, która rozlega w przestrzennej sali pałacowej, a za oknami wiekowe dęby wsłuchują się w tony polonezów, mazurków i nokturnów wielkiego Polaka.

To było niezwykle. Pół godziny odpoczynku i ruszamy dalej. Odpoczynek umilała muzyka chopinowska dochodząca z pałacowej restauracji.

Podróżując dalej śladami mistrza fortepianu, zaczęliśmy wyprawę do niedalekiego Strzyżewa. Małej wsi położonej przy drodze, którą Chopin podążał przez Kotłów i Mikstat do Antonina. W Strzyżewie kompozytor przebywał najczęściej. Któż by pomyślał, że to właśnie stąd pochodziła matka chrzestna Chopina. Niestety nie doczekał naszych czasów stary dwór Wiesiołowskich, w których młody muzyk gościł kilkakrotnie. Dziś o pobytach Chopina w tej

wiosce przypomina duży głaz z tablicą umieszczoną przy szkole, na której napisano: „Strzyżew i skromny dworek Wiesiołowskich pozostał w pamięci Chopina na zawsze.” To tutaj zrobiliśmy kolejny postój.

Pora na kolejny punkt wycieczki. Nieco na południe od Strzyżewa, przy trakcie wiodącym przez Mikstat do Antonina, położona jest stara wieś Kotłów. O jej wieku zaświadcza górujący nad zabudowaniami wiejskimi romański kościół pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny z połowy XII wieku. Chopin bywał w tej świątyni, był to bowiem kościół parafialny jego matki chrzestnej. Jak głosi tradycja to właśnie w Kotłowie Chopin był gościem na chłopskim weselu.

Coś niesamowitego. Wycieczka pełna muzycznych przeżyć. Nieco już zmęczony nauczyciel, mimo że wuefista, no cóż, każdy wiek ma swoje prawa, dodał, iż wracamy, tym razem przez Ostrów Wielkopolski. Niektórzy biografowie kompozytora twierdzą, że Chopin bawił w tym mieście przejazdem nawet dziesięć razy. W drodze powrotnej wszyscy w słuchawkach słuchali już muzyki mistrza fortepianu.

Po powrocie do szkoły pani zakończyła wycieczkę informacją, że oprócz Ostrowa Wielkopolskiego, który wraz z Antoninem, Strzeżewem i Kotłowem znajdował się w czasach Chopina w obrębie Wielkiego Księstwa Poznańskiego, ważnym centrum pamięci o Fryderyku Chopinie jest także prastare miasto Kalisz. W czasach Chopina znajdowało się ono w granicach Królestwa Polskiego, wchodzącego w skład Imperium Rosyjskiego. Nasz wielki rodak – kompozytor i wirtuoz gościł w Kaliszu kilkakrotnie. Ale tam pojedziemy następnym razem.

Wróciliśmy urzeczeni. Niestety Fryderyk Chopin „Rodem warszawianin, sercem Polak, a talentem świata obywatel”- jak pisał w 1849 roku Cyprian Kamil Norwid- wyjeżdżając z Wielkopolski, opuścił kraj rodzinny na zawsze. Zostały jednak miejsca, które trzeba zobaczyć, bo tam szopenowska muzyka nadal gra, niczym orkiestra na Titanicu, jak śpiewa zespół Lady Pank.

11. Spacer po Kaliszu z Jerzym Kryszakiem

Szanowni Państwo, w imieniu Adama Asnyka, Marii Konopnickiej, Stefana Rogozińskiego i Marii Dąbrowskiej zapraszam wszystkich na spacer po Kaliszu. Naszym przewodnikiem będzie sam Jerzy Kryszak - znany aktor i satyryk pochodzący z grodu nad Prosną - który zawsze z ogromnym sentymentem powraca do miejsc z lat dzieciństwa i młodości. Leżąca w Wielkopolsce mała ojczyzna zarówno moja jak i Jerzego Kryszaka

uchodzi za najstarsze miasto w Polsce. To tutaj bywał również Fryderyk Szopen, który grał wówczas w pobliskim Antoninie. Jednak Szopen, będąc 6-krotnie w Kaliszu, nigdy w nim nie zagrał. Raz zatańczył jednak z najpiękniejszą kaliszanką. Jak wyznaje Jerzy Kryszak, to właśnie z Szopenem, poza pewnego rodzaju profilem i to nie muzycznym, łączy ich wiele. To ulica Szopena 3, przy której się urodził. A było to miejsce szczególne, niedaleko Fabryki Fortepianów i Pianin „Calisia”. To obok niej przechodził Jerzy Kryszak kilkanaście razy dziennie przez kilkanaście dobrych lat. To tu słuchał dźwięków wydobywających się z pięknych kaliskich fortepianów. Dziś pełen rozżalenia wyznaje, że nie ma już pana Fibigera i nie ma w Kaliszu jego córek, które znał osobiście. I fabryki wspaniałych instrumentów też już niestety nie ma, mimo że istniała przez 130 lat.

Kolejne ważne miejsce w życiu Jerzego Kryszaka to Liceum im. Adama Asnyka. To w jego opinii wspaniałe męskie liceum. Tarcza, legendarni nauczyciele, niezapomniana atmosfera. I oczywiście spotkania z Jagiellonkami po wyjściu ze szkoły. Były to uczennice znajdującej się naprzeciwko Szkoły Żeńskiej imienia Anny Jagiellonki. Najpierw spotkania na moście, a potem w parach spacerowały do parku i pierwsze miłości. Pobliski park jest najstarszym publicznym miejskim parkiem w Polsce położonym nad brzegiem Proсны. Wspólne spacerowały prowadziły ich zawsze w kierunku Teatru imienia Wojciecha Bogusławskiego. Jest to dla Jerzego Kryszaka magiczne miejsce, chociaż nigdy nie zagrał na scenie kaliskiego teatru. I właściwie sam nie wie, dlaczego. Kolejne wyjątkowe miejsce, tym razem owiane mroczną tajemnicą, to dla Jerzego Kryszaka kościół św. Mikołaja. To tu przyjął I Komunię Świętą i to tutaj podczas jednej z mszy był ministrantem. Niestety, kiedy wszyscy wstawali, on wówczas klęczał, kiedy wszyscy klękali, on wstawał. Spojrzenie księdza wystarczyło, aby zrozumieli się bez słów. I dlatego już nigdy więcej nie podchodził do służby ministranckiej. Kościół św. Mikołaja jest najstarszą świątynią w Kaliszu zbudowaną w XIII wieku w stylu gotyckim. To tutaj od XVII wieku wisiał obraz Rubensa „Zdjęcie Chrystusa z Krzyża”, który w 1973 roku prawdopodobnie skradziono, a dla zatarcia śladów podpalono cały ołtarz. Na przestrzeni wieków świątynia ta była świadkiem wielu wydarzeń z życia kraju, a przede wszystkim miasta Kalisza. Tutaj modlił się Kazimierz Wielki i Władysław Jagiełło. W kościele św. Mikołaja został ochrzczony Adam Asnyk, a Maria Konopnicka zawarła związek małżeński. I to tutaj 4 czerwca 1997 roku modlił się Jan Paweł II.

A na zakończenie wycieczki nasz satyryk zaprasza oczywiście wszystkich Państwa na kaliskie andruty, które są dla kaliszaków tak ważne jak rogale świętomarcińskie dla poznaniaków. Mam nadzieję, że wycieczkę po Kaliszu uznają Państwo za udaną, bo przecież spacerowaliśmy szlakiem gwiazdy estrady. A któż nie uwielbia słuchać Jerzego Kryszaka, który lubi pomidory, jednak nie lubi zupy pomidorowej. I sam nie wie, dlaczego?

12. Wehikuł czasu

Czy rower może być wehikułem czasu? Niby nie, a jednak podczas wycieczki rowerowej do Mniszek, miałam wrażenie, jakbym jakimś tajemniczym sposobem znalazła się w przeszłości...

Mój pierwszy poważny rajd rowerowy! Trasa wiodła ze Starej Jabłonki, niewielkiej wioski, w której mieszkają moi dziadkowie. Przebyliśmy kilka kilometrów leśną drogą, w dolinie rzeki Kamionki. Potem było już trochę gorzej. Droga była podziurawiona jak ser szwajcarski, a jako że niedawno padało, to wszędzie było błoto i kałuże. Już po chwili byłam cała mokra i bardzo zmęczona.

- „Gorzej to już chyba być nie może”- pomyślałam wtedy. Nie miałam jeszcze pojęcia, jak bardzo się myliłam. Wspierał mnie mój tata, który był ze mną na rajdzie. Co rusz natrafialiśmy na różne, bardziej lub mniej spodziewane przeszkody. Chwilę później naszym oczom ukazała się rzeka Kamionka. Kilka osób robiło zdjęcia, mówiąc, że jest tu „malowniczo i cudownie”, ale ja byłam zbyt zmęczona, by docenić urok tego miejsca.

Wreszcie dojechaliśmy do celu naszej wyprawy- skansenu w Mniszkach! Z zewnątrz cały skansen prezentował się wspaniale. Dookoła małego, wybrukowanego placu było widać piękne budynki z czerwonej cegły. Obok dostrzegłam niewielką, drewnianą kapliczkę. Zostaliśmy poczęstowani pysznym ciastem drożdżowym ze śliwkami i kruszonką, takim jak tylko, wydawało mi się do tej pory, moja babcia potrafi upiec.

Bardzo miły przewodnik opowiedział nam historię powstania skansenu, który powstał w 2007 roku w wyremontowanych dziewiętnastowiecznych budynkach gospodarczych dawnego folwarku rodu Unruhów. Okoliczni mieszkańcy przekazali depozyty z własnych gospodarstw. Dzięki temu działa tu teraz Muzeum Ginących Zawodów, w którym możemy oglądać warsztaty: szewski, garncarski, wikliniarski, bednarski, tkacki, kuźnię i warsztat pszczelarski, a także wystawy sprzętu gospodarstwa domowego i maszyn rolniczych, Zobaczymy tu również, jak wyglądała szkoła za czasów naszych dziadków oraz skład kolonialny.

Nie wszystko zrozumiałam, bo co to jest skład kolonialny, co robił bednarz-bębny? Doszłam do wniosku, że odpowiedzi na te pytania uzyskam podczas zwiedzania skansenu. Najpierw, poszliśmy do kuźni- mogliśmy uderzyć w kowadło i poruszać miechy, a nawet zobaczyć, jak przybijano koniom podkowy. Bednarz, jak się okazało, robił beczki. Tata nieźle się uśmieł, gdy się dowiedział, że myślałam, że wykonywał bębny. Ja z kolei miałam powód do żartów, gdy tata próbował złożyć beczkę. W warsztacie wikliniarskim próbowaliśmy wyplatać koszyki. Tata wspominał, że dziadek też umiał pleść, bo w miejscowości – Trzcielu była jedyna w Polsce szkoła wikliniarska. - Oj, tę wiklinę to ja pamiętam aż za dobrze.- powiedział mój tata.- Ile to razy się chodziło, zbierało, namaczało, wiązało ją w pęki, a potem, na święta co było dla dzieci: różga, oczywiście z wikliny! Okazało się, że mój tata także potrafi wyplatać koszyki, ale mi jakoś tak dobrze to nie wychodziło.

W kolejnym budynku oglądaliśmy stare żelazka, pralki i tary do prania ubrań.

- Czy mi się zdaje, czy widziałam takie żelazko gdzieś w domu?- spytałam tatę.

- Mamy, a jakże- zamyślił się.- I chyba nawet jeszcze działa. Bo to było żelazko z duszą, więc nie miało się co popsuć- uśmiechnął się do mnie

Z jaką znowu duszą- zastanawiałam się?

Potem udaliśmy się do warsztatu szewskiego i krawieckiego.

- O, przecież mieliśmy taką maszynę w Jabłonce!- zawołałam na widok przedwojennej maszyny do szycia.- Babcia pokazywała mi kiedyś, jak się na niej szyje. Mogę spróbować?- zapytałam.

Usiadłam przy niej. Teoretycznie wiem, jak się szyje, ale to była dla mnie czarna magia. Spróbowałam kilka razy: tu trzeba trzymać, tam naciskać pedał w odpowiednim rytmie i jeszcze do tego przesuwać materiał pod igłą.

- Poddaje się!- jęknęłam i wstałam.

Poszliśmy do szkoły. I tu znowu zabawa, bo nawet tata już w szkole nie pisał stalówką zanurzoną w atramencie, więc na ławkach, kartkach, a nawet podłodze pojawiały się szybko kleksy. Podczas drogi powrotnej pomyślałam sobie, że faktycznie rower może stać się dla nas wehikułem czasu, dzięki temu, że odnajdziemy takie miejsca, jak skansen w Mniszkach. Wsiadajmy więc na nasze pojazdy jak najczęściej, wybierajmy się nimi na wycieczki po okolicy i dajmy się porwać przeszłości...

13. Lokalna podróż z zagranicznym turystą

Szanowni Państwo. Jako współczesny rycerz zwany dzisiaj dżentelmenem obiecuję, że podczas mojej mowy nie będziecie się nudzić. Oczywiście jest ze mną dama mego serca- moja polonistka Dorotka- dla której jestem tu dzisiaj. Chociaż muszę się Państwu przyznać, że i ona ma czasem „kobiece humory”. Był wtorek. Lekcja trzecia to język polski. Pytanie kluczowe: Do jakich miejsc w naszym rejonie zabrałbym kolegę z zagranicy? Nikt nie miał wątpliwości. Galerie zdominowały odpowiedzi. Jednak pani nie tego oczekiwała. Mają to być miejsca szczególne, miejsca, w których architektura bądź ludzie w nich mieszkający po prostu zadziwiają. W klasie zapanowała konsternacja. Postanowiłem zaryzykować.

Ja, zabierając turystę w podróż po moim regionie, jako pierwszy cel wyprawy obrałbym Gołuchów. Kogo bowiem nie urzekają piękne apartamenty Izabelli z Czartoryskich Działyńskiej znajdujące się w zamku wybudowanym w XVI wieku w stylu renesansu francuskiego. To właśnie tutaj piękna Izabella umieściła swoją kolekcję dzieł sztuki

podziwianą do dziś przez licznych turystów. Jest tam również przepiękny 160-hektarowy ogród saski oraz zagroda żubrów, danieli i dzików, tak chętnie odwiedzana szczególnie przez małych turystów. Po chwili namysłu dodałem jeszcze, że będąc w Gołuchowie pokazałbym mojemu koledze również gołuchowskie jezioro oraz największy głaz Wielkopolski znany jako kamień św. Jadwigi Śląskiej. Jego obwód wynosi 22 metry, a wysokość to 3,5 metra. Po prostu olbrzym.

No nieźle. Odrzekła zadowolona dama mego serca. I co dalej?

Postanowiłem się nie poddać, chociaż w takich sytuacjach łatwo spalić cholewki. Będę próbował. W końcu rycerz nigdy się nie poddaje. Uznałem, że kolejnym punktem naszej wyprawy byłyby apartamenty księcia Antoniego Radziwiłła w Antoninie znajdujące się w pałacu z lat dwudziestych XIX wieku. To budowla niezwykła, której wnętrza wprowadzają w zachwyt. Pałac ten otacza również rozległy park krajobrazowy z pomnikowymi dębami. Niewątpliwie mojego kolegę z zagranicy zaprosiłbym także na piękny chopinowski koncert, bo to właśnie Antonin tak bliski był Fryderykowi Chopinowi, mistrzowi fortepianu. Pokazałbym gościowi salonik muzyczny z instrumentami z epoki i obrazami oraz odlew dłoni Fryderyka Chopina przechowywany w pałacu.

Z oczu polonistki można było wyczytać uznanie, dlatego już bez chwili namysłu kontynuowałem wypowiedź. Czułem grunt pod nogami.

Dodałem, że podczas naszej wycieczki koniecznie musielibyśmy zawitać również do pałacu Niemojowskich w Śliwnikach. To właśnie tu Jan Nepomucen Niemojowski wybudował neogotycki pałac z pięknym ogrodem, który stał się schronieniem dla weteranów powstania listopadowego. Natomiast w 1863 roku urządził w nim arsenał powstańczy. O takich ludziach i miejscach historia nie zapomina.

Natomiast na kolację zaprosiłbym mojego gościa oczywiście do restauracji Lazurowe w mieście Nowe Skalmierzyce. Nasze sery pleśniowe to przecież klasyka smaku. A na stole pojawiłby się zapewne lazur błękitny, turkusowy, złocisty i pewnie srebrzysty.

Pani była zachwycona. Dostałem szóstkę. Jak to nieraz niewiele trzeba, by uszczęśliwić kobietę.

Przyroda

14. Czarne Paskudy

„Już kormorany odleciały stąd...” Tak śpiewał kiedyś romantyczny Piotr Szczepanik. Odleciały... Jasne! Wierzcie mi, o niczym innym nie marzę. Gdyby rzeczywiście odleciały,

ludzie z Pojezierza Drawskiego, odetchnęliby z ulgą, Ba! Nasze lasy, jeziora, wyspy, całe piękno naszego świata miałyby szansę przetrwać przez kolejne tysiące lat. A tak? Kormorany zniszczą nas w bezlitosny, obrzydliwy i okrutny sposób, bo są po prostu bezkarne. Są chronione!

Kormorany. Wielkie, czarne, perfidnie inteligentne ptaszyska to prawdziwa z mora, plaga, kataklizm, armagedon. Przepraszam, denerwuję się, kiedy o nich mówię. Jeszcze kilka lat temu, ludzie znad jeziora Drawsko, żyli w przyrodniczym raju, w niebiesko-zielonej krainie jezior i lasów, gdzie ryby, grzyby, jagody i kąpiel dla ochłody. Sielanka się skończyła, bo tego cudu natury postanowiły posmakować ONE – czarne paskudy. Dorosły osobnik ma ok. 80 cm długości, jego rozpięte w locie skrzydła mają 140cm, a taki jeden osobnik zjada sobie codziennie co najmniej kilogram ryb. Cóż, kilogram to jeszcze nie byłby problem, ale tu chodzi o potężne stado kormoranów, czyli tonę ryb dziennie. Tonę! Dziennie! Czyli 300 ton rocznie! Tyle zjadają chronione prawem kormorany, które zaszczyciły nas swoją obecnością. 300 ton zjadają. A ile zabijają lub kaleczą bez powodu, dla samej przyjemności polowania? Nie chcielibyście widzieć tych gnijących, poszarpanych rybich szczątków wyrzucanych przez fale na brzeg. Tak, kormorany to perfidni zbiorowi mordercy, polujący stadami jak żołnierze. Najpierw nadlatuje zwiadowca, na jego sygnał pojawia się chmara kilkudziesięciu sztuk, których zadaniem jest wypłoszenie ryb z głębin, po czym kolejny batalion zbiera z powierzchni przerażone, bezbronne sielawy, okonie, sieje, płocie i co tam jeszcze jezioro kryje. Część zjadają, a część tylko ranią i takie poszarpane zostawiają w wodzie. I tak dzień w dzień, niemal przez cały rok.

A ile ryb może przetrwać w jednym jeziorze, choćby tak dużym jak Drawsko? Na ile lat ich wystarczy? Jak dużą kolonię czarnych myśliwców to jezioro wykarmi? Przez ile lat? A ludzie? Czy my już nie mamy w tym świecie żadnych szans? Mój dziadek jest rybakiem. Zarzucał sieci przez całe swoje życie. Jeszcze kilka lat temu każdy połów kończył się sukcesem, każdego dnia ludzie z okolicy i turyści mogli cieszyć się cudownie pachnącą, złocistą wędzoną sielawą lub świeżutkim smażonym okoniem. Dziś to już przeszłość. Sieci są niemal puste, bo młode ryby nie zdążą nawet dorosnąć, gdy stają się łupem bezlitosnego, czarnego, żarłocznego stada.

Czy jezioro bez ryb jest jeszcze jeziorem? To smutne, że muszę dziś zadawać takie pytania. Ale nie mogę ich nie zadawać! Bo kormorany są. W mojej okolicy jest ich już kilka tysięcy. Z roku na rok coraz więcej. I są CHRONIONE. A mój świat – moje jeziora i lasy – NIE.

Na przepięknym jeziorze Drawsko jest wiele bezludnych, dzikich wysp. O jednej z nich wczoraj opowiadałem, pamiętacie? Niedaleko Bielawy jest Wyspa Samotna. Tę kormorany wybrały sobie najpierw. Ponad sto gniazd zbudowały wysoko w koronach starych buków, sosen i świerków. Dziś tamta oaza zieleni to przeszłość. Dziś to ponura, śmierząca pustynia, strasząca sterczącymi kikutami drzew. Co się stało? Żadnego pożaru tam nie było, żadnego bombardowania napalmem też. To tylko kormorany. Ich odchody zawierają śmiertcionośny dla roślin azot, który dzień po dniu wypala każdy listek, krzew, trawę, zioła – wszystko.

Powrót życia w takie miejsca jest praktycznie niemożliwy. Kormoranom to nie bardzo przeszkadza, bo szybko zmieniają miejsce gniazdowania, ale nam, ludziom – tak! Nasi czarni, chronieni prawem goście unicestwili już kilka dziewiczych wysepek na jeziorze Drawsko i powoli zabierają się za bezcenną dla nas Bielawę!

Czy my, inteligentni i odpowiedzialni, kochający przyrodę ludzie mamy na to pozwolić? Czy na naszych oczach Drawski Park Krajobrazowy w ciągu kilku lat ma zmienić się w pogorzelnisko? Chronione prawem ptaszyska jak nieokiełznany żywioł mają wypalać do cna zieleni i błękit, a zwierzęta i ludzie z pokorą mają się stąd wynieść? Z pokorą wobec czego? Minister Środowiska twierdzi, że wobec prawa, to znaczy tak zwanej Dyrektywy Ptasiej z 2009 roku. A czy inne zwierzęta też mają prawo do takiego prawa? Na przykład ryby? Cóż, one podobno głosu nie mają, więc muszą zginąć. Muszą?

A my, ludzie? My głos mamy i powinniśmy z niego mądrze korzystać. Na przykład głośno wołać, że kormoran, PHALACROCORAX CARBO, chroniony na mocy prawa międzynarodowego, nie może być ważniejszy od ryb, saren, zajęcy, dzików, lisów, wilków czy raków, które dziś muszą mu ustępować miejsca. Nie może być ważniejszy od buków, sosen, jarzębin, wrzosów i mchów, które dziś bezlitośnie i bezpowrotnie niszczy. Phalacrocorax carbo nie może być ważniejszy od człowieka, którego niezbywalnym prawem jest **żyć w harmonii naturą!**

Marzę o tym, by słowa „Już kormorany odleciały stąd” stały się nie fragmentem piosenki, a **prawdą**. Prawdą o życiu ludzi z Pojezierza Drawskiego. I **moim**.

Oprac. Alina Karolewicz

15. Kłopot ... to moja specjalność

Dzień dobry. Mam na imię Basia i opowiem wam dziś o pewnej wakacyjnej wyprawie. Mama nie miała jeszcze urlopu, a ja, cytując tatę: „zaczynałam zrzędzić na tzw. lato w mieście”. A zrzędzić podobno potrafię, więc gdy tata miał już dość, zaproponował tajemniczy wyjazd. Kazał mi zabrać tylko niezbędne rzeczy i ... lornetkę. Byłam pewna, że jedziemy nad morze. Już prawie widziałam, jak podgląda wczasowiczki. Oj, to się mamie nie spodoba! – pomyślałam - jednak wizja lodów i gofrów skutecznie uciszyła moje sumienie. Szybko przekonałam się jednak, że droga wiodąca przez pola i lasy nie prowadzi nad ukochany przez naszą rodzinę Bałtyk.

Gdy tata zatrzymał samochód, z niedowierzaniem przeczytałam nazwę miejscowości: „Kłopot”.? No masz babo placek! Z własnej woli pakować się w kłopoty! ... I wtedy je zobaczyłam! Gniazda! Ogromne bocianie gniazda! I już wiedziałam po co nam lornetki!

Pewnie nie wiecie, ale Kłopot to mała wioska. Mała, ale nie byle jaka! Obecnie to największa Bociania Wioska w Polsce, nazywana zresztą tak oficjalnie. Dlaczego?

Wyobraźcie sobie, że na 40 domów znajduje się tu 39 gniazd bociana białego. Podjechaliśmy pod starą szkołę. To tutaj w 2003 roku utworzono pierwsze w Polsce Muzeum Bociana Białego. Zakwaterowaliśmy się w schronisku i przez 3 dni podglądaliśmy bociany, nie wczasowiczki. Zaczęliśmy oczywiście od muzeum. Zaskoczyło mnie, ile zgromadzono tam przedmiotów z wize-runkiem bociana – obrazki, pocztówki, talerze, kubki, butelki, obrusy i wiele innych. Tata z błyskiem w oku kupił mamie poduszkę, która zdobił piękny bocian karmiący młode. Nie wiem, czy przemyślał to, co robi, bo mama już dawno zapowiedziała, że jedna wszędobylska, nadpobudliwa dziewczynka zdecydowanie jej wystarczy. Tak więc, jeśli chodzi o rodzeństwo, nawet bocian tu nie pomoże, mimo przypisywanych mu powszechnie zasług

Od przewodniczki dowiedzieliśmy się, że pierwsze bociany pojawiły się w Kłopocie tuż po wojnie. Były to dwie pary, zaś obecnie do lęgów przystępuje ich ponad dwadzieścia. Przylatują zwykle pod koniec marca. Jako pierwsze zawsze samce, które zajmują gniazdo i przystępują do jego remontu. Dopiero później pojawiają się samiczki. Spryციule, wiedzą, co robią! Wy chyba też nie lubicie sprzątać, prawda I od tego momentu obserwować można cały rytuał godowy. Zaczyna się tzw. klekotanie dziobem. To w ten sposób samiec oznajmia zajęcie gniazda i stara się zwabić samicę. Ludzie muszą się trochę bardziej wysilić na szczęście. Chociaż klekotanie dziobem też się pojawia, tylko trochę później, nie na początku znajomości.

W Polsce wierzono zresztą kiedyś, że bocian powstał z człowieka. Otóż podobno gdy płazy i gady nadmiernie rozmnożyły się po świecie, Bóg zebrał je do worka, zawołał człowieka, kazał mu worek zanieść nad morze i zawartość wysypać do wody. Ale było jak z puszką Pandory – ciekawski człowiek rozwiązał wór, a zwierzęta rozpełzły się po ziemi. Bóg więc zamienił mężczyznę w bociana, aby świat sprzątał. Stąd zapewne wzięło się powiedzenie: „, Albom ja bocian, żebym świat sprzątał?!”

Podczas tej krótkiej wyprawy dowiedziałam się wielu interesujących rzeczy o bocianach i oczywiście mogłam podglądać, jak młode doskonalą swą technikę latania. I mimo fatalnej nazwy w Kłopocie nie spotkało mnie nic złego.

A mamie bardzo spodobała się poduszka z bocianem. Kto wie, może coś jeszcze z tego wyniknie? Nie miałabym zresztą nic przeciwko temu.

Inne:

16. Bransoleta

(...)

Kilka miesięcy temu archeolodzy i pletwonurkowie z całej Polski urządzili w Czaplunku piknik naukowy. Lubię nurkowanie, przygody, nietypowa zdania, ciekawi mnie przyroda, więc idę. Wykłady... Hm... Prezentacje historyczne. Już lepiej. Wystawa atrefaktów archeologicznych – o, to coś dla mnie. Kamienna siekierka znaleziona kilka kilometrów od

mojego domu, metalowa szpilka sprzed tysiąca lat, jakieś gliniane kółka, podobno do tkactwa... O, a ta bransoleta też z wykopalisk? Wygląda jak współczesna. Znaleziona nad jeziorem Drawsko? Naprawdę??? Kilka tygodni wcześniej. Naprawdę??? I ma 2800 lat? Nie! Serio? Naprawdę???

Naprawdę. Piękna, metalowa bransoleta z epoki brązu, precyzyjnie wykuta – z BRĄZU, gładka, połyskująca niemal jak zachodzące słońce tak mnie zainteresowała, tak przyciągała, że pan archeolog pozwolił mi wziąć ją w ręce. Była ciężka i ciepła, jakby właśnie zdjęła ją z ręki jakaś dziewczyna. Dziewczyna... Jaka?

Jaka byłaś, dziewczyno znad mojego jeziora 2800 lat temu? Żyłaś tu, gdzie ja, kochałaś tę samą szmaragdową taflę wody i tę samą mroczną zieleń starych lasów. Czy potrafilibyśmy się porozumieć? Jak wyglądałoby moje życie w twoim świecie?

Dziewczyno – Prasłowianko, jak się wtedy żyło ?

Kultura łużycka, epoka brązu... Aha. Drewniana chata na skraju lasu, nad jeziorem. O świecie wpływamy łodzią na połów. Ja i ojciec. To tak jak dziś. Hmm...

A ty? Przy chacie małe poletko. Podobno już wtedy były orkisz, proso, bób, soczewica, rzepa. Masz co robić. A jak wyglądasz? Pewnie ślicznie – w lnianej, prostej sukience, z długimi, splecionymi w warkocze włosami i bursztynowymi paciorkami na szyi. A bransoleta? Skąd masz tę wykutą z brązu ozdobę? Musiała być bardzo droga, przywieziona z daleka. Może jacyś waleczni wojowie zabłąkali się w tych lasach i oczarowani twoją urodą podarowali część swojego łupu? A może to twój posag, skarb kupiony przez ojca za setki wyłowionych z jeziora ryb albo skór upolowanych w okolicy zwierząt? Od kogo?

Kto trzy tysiące lat temu ty żył? Na Pomorzu? W Grecji to czas wojny trojańskiej i Homera, z Egiptu Ramzesa II właśnie wychodzą Izraelici, do Europy wkraczają Celtowie. A tu? Jeszcze 2010 roku w „Przewodniku archeologicznym po Polsce” można było przeczytać zdanie: „Obszar Pojezierza Drawskiego przez lata uważano za pustkę osadniczą”. Ale przecież ty tu b y ł a ś ! Tak samo jak ja teraz!

Prasłowiańska dziewczyno sprzed 2800 lat, czy tak jak ja lubiałaś wschody i zachody słońca nad jeziorem?

Czy tak jak ja z ciekawością patrzyłaś na usiane gwiazdami niebo?

Czy tak jak ja szukałaś iskerek radości w oczach spotykanych ludzi?

Tak jak ja im ufałaś? I z nadzieją myślałaś o przyszłości?

Z zamyślenia wyrwał mnie pan archeolog, który domagał się oddania bransolety. Oddałem. Ale dziewczyna została... I...? I tajemnica.

Oprac. Alina Karolewicz

